ROK TRZECI.

№ 47.

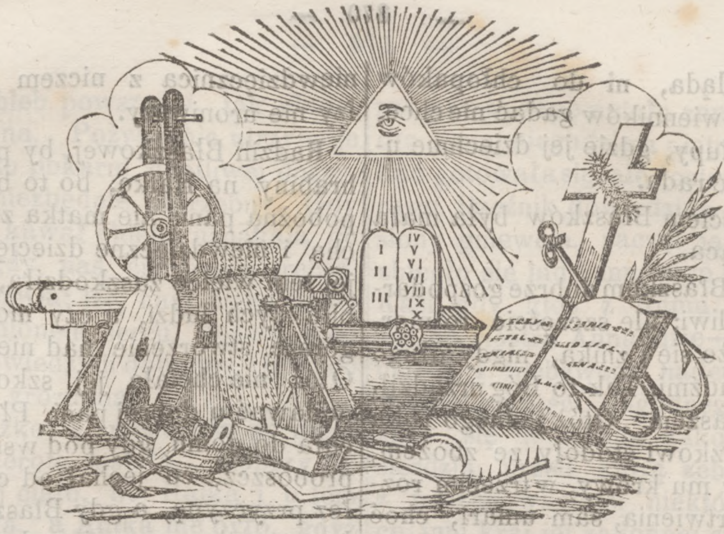
Warszawa

Dnia 9 (21) listopada

1858.

Niedziela

26ta po Świątkach.



REDAKCYA CZYTELNI
przy ulicy Chmielnej Nr. 1527.

PRENUMERATA rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45. miesięcznie k. sr. 15.
Na prowincyi i w Cesarstwie rs. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo)..

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Prosimy Cię Panie! ocuć chęci Twych wiernych, iżby Boskiego dzieła pożytki najpilniej wykonywając, szczodrzejszych lekarstw Twego miłosierdzia dostąpili. (Kollekta na niedzielę 26tą po Świątkach).

Siostra Magdalena.

—

Na Podlasiu mila od Siedlec, powiatowego miasta, na piasczystym wygonie leży wieś Chodów; domki jej kryte słomą stoją rzędem ponad płynącym Liwcem (rzeką), co krętem korytem przerzyna zielone przyległe łąki.

Wieś ta niegdyś należała do licznych dóbr księżnej Ogińskiej, pani znakomitej, majątku i cnót licznych, matki ubogich, dobrodziejki uciśnionych, opiekunki sierot, któréj pamięć nie zaginie nigdy, bo ją wdzięczność zapisała w sercach potomnych. Dziś wieś ta należy do dóbr rządowych. Przed laty trzydziestą był w Chodowie jeden z gospodarzy wiejskich nazwiskiem Andrzej Błaszka; domek jego najpiękniejszy w wiosce i najstaranniej utrzymany stał ponad samą rzeką, stodoła, obora, wszystko o rządności gospodarza mówiło. Sam domek przytykał do zielonego ogrodu, a stodółka pełna zboża do pasieki; w stajence stały cztery dojne krówki i para rączych koni, w chlewku tłusta trzoda czekała jarmarku, a na podwórku gdakały spasłe kokosze. W chałupie gospodarz z gospodynią pracowali uczciwie na utrzymanie dziatek; z tych najstarszy syn Antek był już za fornala w Suchożebrach wsi sąsiedniej, Hanka córka służyła u hrabiny jakiejś nie opodal Chodowa w garderobie, bo ją matula zamłodu oddała do uczonej organiściny w Krześlinie, co ją ładnie szyć nauczyła, haftować pięknie, prać i na książce czytać. Sarkali na to sąsiedzi, że na wielką panią Błaszkowa kieruje córkę, doświadczeńsi mówili, że lepiéjby pilnowała ojcowskiej grzędy, plewła i z sierpem w pole chodziła, a nie ustroiwszy się jak lalka, siedziała między dworskimi, co jej do ucha pochlebstwa kładą. I mieli prawdę, bo Błaszkowa nieraz na Halkę płakała, że jej się wstydzi, bo gdy wystroiwszy się, zasiądzie z dworem hrabiny w kościele, to ani spojrzy na matkę i ojca, ani im się skłoni. A gdy hrabina każe jej nawiedzić rodziców, to bodajby matka najlepszy przyrządziła dla niej przysmak, to się nań wykrzywi, od siebie odtrąci, chłopskie gadanie wyśmieje i na dziewczęta, swej młodości towarzyszki,

zukosa jeno spogląda, ni do chłopaków wiejskich swych rówienników gadać nie chce, i co prędzej z chałupy, gdzie jej dziecinne ubiegły lata, uciekać rada.

Trzeciém dziecięciem Błaszków była mała Kasia lat ośm licząca.

Czas długi szło Błaszkom dobrze gospodarstwo i byli szczęśliwi; ale szczęście to morska pianka, pokaże się i znika, nigdy długo nie gości między ludźmi. Tak to Bóg urządził, widno z dobrem naszem. Otóż jednego roku spalił piorun Błaszkowi stodoły ze zbożem, w drugim wypadły mu krowy, w trzecim rozpiwszy się ze zmartwienia, sam umarł, choć mu często prawił ksiądz proboszcz, gdy nawiedzał po wsi chorych: Nie martwcie się ziemskiemi troskami, bo gdy niemi Bóg ludzi dotyka, wiedzie ich drogą zbawienia i ku sobie zbliża; co ziemskie, to nietrwałe, tam dopiero, mówił, wskazując niebo, szczęście cnotliwych, pokornych, które im ani piorun, ani zaraza, ani woda nie odejmą. Ale biada to wielka, że rodzice chowając dzieci, nie wpajają w ich serca zasad świętej religii, nie uczą trosk przenosić z uległością i Boga tak miłować, by wszystko, co On zeszle, przyjęto z pokorą.

To też słowa pasterza przeszły tylko mimo uszu Błaszka, których zrozumieć nie umiał, bo on tylko co ziemskie miłował, dlatego straty dobra doczesnego przeżyć nie potrafił.

Po śmierci Błaszka nie było go za co pochować, gdyż co nie zabrały klęski, to zabrała nieszczęsna wódka, bo pił Błaszka, piła i jego żona. Iluż to dziś mamy takich, gdy im się dobrze dzieje, to i dobrzy, to i cnotliwi, a gdy los z mańki jak to mówią zajdzie, dalejże rozpaczać, pić, niszczyć i wszystko na Boga składać. Mało to wiary w niebo, mało miłości Boga i bojaźni w sercu chrześcianina, owej, miłości, co nam krzyże od Boga zesłane snadnie znieść pozwala, a pod które prawdziwie miłujący Boga z pokorą uchyla karku i błogosławi rękę, która go chłoszcze.

Po śmierci trup Błaszka leżał w chałupie, bo nie było za co kupić trumny, by grzeszne ciało w nią ułożyć. Pobiegła Błaszkowa do Halki jako najzasobniejszej, by dała na pochowanie ciała rodzicielskiego, ale niewdzięcznica z niczem matkę odprawiła, łzy nie uroniwszy.

Radzili Błaszkowej, by poszła na skargę do hrabiny na Halkę, bo to była wielce dobra i pobożna pani; ale matka zawsze matką, kocha i niewdzięczne dziecię—wiedziała, żeby jej tem wielce zaszkodziła, bo ta pani nie lubiła złych ludzi, a czy może być na świecie gorsze stworzenie nad niewdzięczne dziecię? Otóż nie chciała jej szkodzić i w nienawiść podawać u dobrej pani. Płacząc gorzko, wracała do domu, gdy pod wsią spotkał ją ksiądz proboszcz, co jechał od chorego; zapytał o łez przyczynę, a gdy Błaszkowa opowiedziała wszystko, rozgniewał się dobry pasterz, że szukając u niedobrych ludzi pomocy, podaje go w sądy ludzkie, iż biedaków grzebać nie rad, aż mu zapłacą.

— A co, nie mówiłem, dodał, potrzeba to było rozpaczać, nie zaś zdać się na wolę Boską? wie Bóg lepiej, co z nami robi. Oj biada, biada z wami, że pociechy nie szukacie w modlitwie, ale w kieliszku. Boże! kiedyż ten lud się upamięta?

I pojechał proboszcz dalej z modlitwą na ustach za zbłąkanych braci, a nazajutrz ciało Błaszka pochował jak przynależy.

Halka nie była na pogrzebie i nie widziała zmarłego ojca.

Po śmierci Błaszka wszystko też już marnie poszło; żona nieboszczyka piła bez pamięci, zapomniawszy, że ma jeszcze ośmioletnią Kasię, którąby na chwałę Boską trzeba wychować, ażeby potem nie było ciężko na strasznym sądzie zdać Bogu rachunek ze zguby dobrowolnej dziecięcia. Matka do karczmy, a Kasia dalejże włóczyć się po wsi, albo leżeć gdzie pod płotem i spać cały Boży dzionek, lub w karczmie przyglądać się hulankom, a gdy głód przycisnął, wyciągać rękę. I tak na próżniactwie trawiła życie, a próżniactwo to najstraszniejszy nieprzyjaciel cnoty; ono jako szatan podaje do ucha niecne uczynki i wiedzie drogą bezwstydu i upodlenia. Tak żyjąc Kasia, zapomniała i pacierza, bo niktjej nie pilnował, by rano i wieczorem Boga pochwaliła, a kto o Bogu zapomina, to staje na bezdrożu; cnota mu uciążliwa, a występek powabny, brnie w kały występku i duszę czartu ślubuje. Codzienna rozmowa przez modlitwę

z Bogiem, jak chleb powszedni, tak chrześcianinowi potrzebna. Pożywienie utrzymuje życie, modlitwa to pokarm cnotliwej duszy, do jej istnienia niezbędnie potrzebny. Gdy nas głód dojmuje, kawał chleba uspakaja go i pokrzepia siły, gdy nas cierpienia dręczą, modlitwa nas orzeźwia; lżej nam po tej cichej rozmowie na uciśnionem sercu, bośmy jego dolegliwości wypowiedzieli dobremu Ojcu, co nas lepiej od ludzi zrozumiał.

Tak pijąc Błaszkowa, niebawem po mężu umarła, a Kasia sierotą została. Dobrzy ludzie pochowali jej ciało, bo Halka i o tem wiedzieć nie chciała, a Antka nie było, gdyż poszedł w dalekie strony na chleb powszedni zarabiać i gdzieś zaginął. O Kasi nikt wiedzieć nie chciał, mówiąc, że nic dobrego stracona dla świata; siostra gdy doń przyszła, usunęła ją od siebie.

Otóż biedna Kasia nieprzyjęta nigdzie poszła w świat szeroki. I tak szła sobie od wsi do wsi, od miasteczka do miasteczka po proszonem, a gdy za co kupić jeść nie stało, to i ukraść potrafiła. Na zimę zwykle szła w służbę, zkąd nieraz kijem obita, wydalaną za złe spawowanie zostawała. I znów szła dalej, i tak idąc, dostała się do Lublina. Właśnie zbliżała się zima, wiatr mroźny wiał od północy, suchemi liściami miotając po drodze; kiedy niekiedy i śnieg pruszyć poczynał i mały przymrozek ściskał ziemię. Kasi zimno było, bo oprócz podartej koszuli, spódniczki i małej na szyi chusteczki, więcej nic nie miała. Trzeba było pomyśleć o sobie; otóż dostała się na służbę do właścicieli sklepu z wędlinami. Na zapytanie rzeźniczki, dlaczego taka obdarta, niedobrego do kłamstwa się uciekła, powiadając, że ją okradziono. Ulitowała się nad nią poczciwa kobieta i wzięła, oporządziła i pamiętała jak o własnem dziecku; ale Kasi mimo wygód żal było wolnego życia, gdzie to mogła robić, co się jej podobało. W tych nowych obowiązkach Kasia zostając, raz posłana na miasto za kupnem czegoś na rynek, podała więcej jak istotnie zapłaciła. Gdy się o tem przekonała rzeźniczka, obiła porządnie Kasię i raz jeszcze powiedziała, że tylko przez wzgląd na jej sieroctwo zostawia ją przy sobie, ale jedno jeszcze przekroczenie, a oddali ją nazawsze. Lecz Kasia nie umiała korzystać z rad dobrych poczciwej rzeźniczki, i raz gdy ta zapomniała zamknąć kassę, ukradła z niej niegodziwa piętnaście rubli i uciekać gotowała się; ale dostrzeżono kradzieży na razie. Rzeźnik dowiedziawszy się o tem, uniesiony gniewem, zaczął ją bić niemiłosiernie; zbiegło się ludzi mnóstwo pod sklep na krzyk Kasi, gdy ktoś z tłumu zawołał: Uciszcie się, bo siostra Anna idzie—na te słowa gwar ucichł i niebawem nader przyjemnej powierzchowności, łagodnego wejrzenia ukazała się w tłumie zakonnica siostr miłosierdzia, przed którą zebrani rozstąpili się z poszanowaniem; niektórzy całowali jej ręce, inni kraj jej zakonnej szaty. Rzeźnik pohamował się w gniewie, poprawił na sobie szamotaniem rozrzucone odzienie i otarł od gniewu spienione usta.

— Co to? zapytała zakonnica, stojąc wśród zebranych.

Opowiedziano jej zdarzenie, jakie zaszło— spojrzała na Kasię ze spuszczonemi oczyma stojącą w tłumie.

— Taka młoda, a już tak występna, rzekła siostra Anna głosem wzruszonym. O mój Boże, mój Boże, i oczy zakonnicy nabiegły łzami.

Zakonnica po krótkiej rozmowie z władzą policyjną, która Kasię wziąć na ratusz miała, kazała iść za sobą. Gdy Kasia weszła za zakonnicą w ciemne mury klasztoru, które zmrok zapadający jeszcze ponurszemi czynił, i gdy furta zatrzasła się za nią, strach ją przejął; cofnęła się, lecz na skinienie zakonnicy poszła dalej.

(Dokończenie nastąpi).

Użyteczność ptaków w gospodarstwie rolnem i leśnem.

—

Od dawnych już czasów obszerne lasy w różnych krajach niszczone były przez owady; klęska ta pojawiała się niekiedy co lat kilka lub kilkanaście, przenosząc wreszcie zarazę do sąsiednich krajów. Brak gruntownej znajomości nauk przyrodzonych, bogactwo dziko rosnących lasów, niemożność użytkowania z drzewa, były przyczyny, że mało zważano i nic nie robiono dla zapobieżenia tej pladze.

W różnych krajach poruczano leśniczym i ludziom znającym nauki przyrodzone obmyślanie środków, lecz ci lubo dokładnie rozpoznali szkodliwe lasom owady, niewiele jednak zrobili dla zaradzenia złemu. Przekonało bowiem doświadczenie, że *bicie rowów* wtedy jest tylko dobrem, kiedy te mogą być zalane wodą, przez suche bowiem rowy gąsienice przełażą; *wpędzanie trzody* do lasów dotkniętych niewiele też pomaga, bo świnie ryjąc, szukają korzonków roślin, a żarłoczniejsze zjadają gąsienice i od nich często zdychają. Wreszcie podawane środki zaradcze przez niektórych, aby gąsienice w chwili przemieniania się ich w poczwarki zbierać i niszczyć, albo co rano ociężałe ćmy siedzące na pniach drzew obławą łowić, tam tylko się okażą praktycznemi, gdzie na rozkaz można zgromadzić tysiące ludzi w podobnym celu. Skuteczniejszym podobno środkiem będzie rozpowszechnienie wiadomości o owadach i ich nieprzyjaciołach w lasach żyjących, co zapobiegłoby szerzeniu się klęski.

Ze wszystkich stworzeń żyjących ptaki szczególniej zasługują na uwagę pod względem ochrony lasów i pól od owadów. Pożytek z nich jest rozliczny, szczególniej z ptaków owadożernych, które ogromną ilość owadów codziennie zjadają. Spójrzmy tylko w czasie letnich miesięcy na unoszące się ponad bagnami miliony komarów i much, z których każda znosi setki jaj, na pnie drzew okryte jajkami ciem, a z przestrachem wyrzeczemy, że słońceby się zaćmiło, gdyby się to wszystko zupełnie wykształciło. Lecz Opatrzność stworzywszy świat i wszystkie żyjątka, postawiła go w równowadze, a skoro człowiek niebacznie zaczyna ją psuć, następuje zniszczenie. Dobroć Stwórcy na wszystkie klęski i szkody tego świata stworzyła zarazem środki zaradcze, lecz dotąd słabemu rozumowi naszemu nie dozwoliła ich wszystkich odkryć. Każdy prawie dzień przedstawia postrzeżenia, a badacze przyrody korząc się przed wielkością Stwórcy, podziwiają z wdzięcznością wszędzie panującą zgodność, której człowiek zepsuć nie może, a gdy gdziekolwiek wytępić się stara choć jeden rodzaj stworzenia, zaraz sprowadza na siebie karę.

Fryderyk II król pruski, chcąc pomnożyć ulubiony swój owoc wiśnie, nieudające się na niewdzięcznych piaskach Brandeburgii, wydał rozkaz, aby *wróble domowe* i *polne* (Fringilla domestica i montana), które jak wiadomo, przed ich dojrzeniem zjadają wiśnie, łapać, strzelać i niszczyć, przeznaczając za każdego wróbla 6 fenigów, czyli 3 grosze polskie nagrody. Cóż się stało? Łakomi na grosz prusacy wzięli się do wytępiania wróbli; po dwóch latach rząd stracił kilkanaście tysięcy talarów za wróble, a w ogrodach nietylko już wiśni i innych owoców nie było, lecz nawet listka zielonego nie ujrzano, tak dalece gąsienice owadów się rozmnożyły. Fryderyk cofnął rozkaz, a wróble z dalekich stron sprowadzać musiał, i odtąd szanować je nakazał.

Do najszkodniejszych owadów w lasach iglastych należy ćma zwana *prządka sosnowiec* (phalaena bombyx pini), której samice w lipcu i sierpniu składają jajka na pniu i gałęziach, każda przynajmniej 800 znosi jajek; do jakiegoż stopnia doszłoby rozmnożenie tego szkodnika lasów, gdyby nie sikory leśne, których liczymy do 6 gatunków. Te ptaszki są najdzielniejszym środkiem przeciwko temu zniszczeniu; każda sikora pożera dzienne tysiące jajek, a ponieważ są mnożne, bo jedna para do 20 ptasząt rocznie wychowuje, jakże wielkie usługi wyświadczyć mogą. A jednak ileż to set tych pożytecznych ptaków łapią dla zabawki, ileż to tysięcy jaj wybierają pastuszki z gniazd! Oprócz sikor wytępiają jeszcze *ćmę sosnowca* i inne ptaki, a szczególniej: *Bargieł kowalik* (Sitta europaea), drobny ten ptaszek na wzór dzięciołów biega zręcznie wgórę i na dół pni, szukając owadów i kuje dziobem dla wystraszenia gąsienic, chrząszczów zpod kory drzew. Ptak ten znany jest u ludu pod nazwiskiem *kowalika*.

Pełzacz zaskórnik (Certhia familiaris) uwija się ciągle po drzewach, wyszukując jaj owadów; nazwany *zaskórnikiem* z przyczyny, że ściele gniazdo między pniem, a odstającą na nim korą.

Królik żółtogłówka (Regulus flavicapillus), najmniejszy europejski ptaszek, żyje gromadnie, żywi się wyłącznie jajami owadów.

Te malutkie ptaszyny łatwo odróżnić od innych po ustawicznem świergotaniu i ciągłym ruchu; zimują wszystkie u nas i kiedy

inne owadożerne ptaki odlatują czyścić lasy krajów cieplejszych, one przez 6 miesięcy zimowych troskliwie przeskakują każdy pień i gałęzie naszych gajów i ogrodów.

Na gąsienice *prządki sosnowca* najlepszą jest zwyczajna *kukułka* (cuculus canorus); szczególniej więc ptak ten na rozmnożenie zasługuje, i w dzisiejszych czasach nie powinny już znajdować wiary owe baśnie ludowe, że kukułka innym ptakom jajka wypija, a pod jesień przemienia się w krogulca. Na dowód użyteczności tego ptaka przytoczymy tu zdarzenie w r. 1847 na Pomorzu przytrafione. Las sosnowy schnąć zaczął, przekonano się zaraz, że to od gąsienic *sosnowca*. Uczone Niemcy przemyślali nad sposobem wstrzymania klęski, lecz nim wynaleźli środek zaradczy, dobroczynna natura sprowadziła w te miejsca mnóstwo kukułek odlatujących już na zimę. Te znalazłszy dobry dla siebie żer w gąsienicach, pozostały tu parę tygodni i tak lasek wyczyściły, że roku następnego zaraza się nie pojawiła.

Ponieważ kukułki są bardzo obżarte, bo na minutę zjadają kilka gąsienic, można przypuścić że 100 kukułek dziennie przeszło 16,000 gąsienic pożerało; przypuszczając znowu, że z tych wychowanych ciem połowa, to jest 8,000 będzie samic, a każda w przecięciu zniesie tylko 500 jaj, wypada, że 100 kukułek przeszkodziło wykształceniu się 2 milonów gąsienic w jednym dniu.

Żeby te obliczenia nie zdawały się czytelnikom bajecznemi, przytoczymy tu niektóre postrzeżenia hr. Wodzickiego, znanego Ornitologa (1) galicyjskiego:

„W roku 1842 na trzech długopniowych różach stulistnych, czyli centifoliach, mówi ten naturalista, naliczyłem przeszło 2,000 *mszyc listkowych*; oddzieliwszy te wazony, puściłem na nie *sikorę czarnogłówkę*, która w kilka godzin wszystkie pięknie wyzbierała i na innych krzewach więcej jeszcze szukała. Któż z mieszkańców wiejskich nie patrzał na chmary komarów krążących w jednem miejscu, i tyle dla ludzi uprzykrzonych, szczególniej wieczorną porą? Otóż i ci nieprzyjaciele naszych wieczornych przechadzek mają swych gnębicieli; do najpotężniejszych policzyć wypada *kozodoja lelka* (u ludu zwany nocną jaskółką) caprimulgus europaeus. Ten paszczasty, nocny ptak wielkości krogulca, po zachodzie słońca jedynie za komorami się ugania. W miesiącu lipcu 1839 r., ponad stawem widziałem mnóstwo komarów w osobnych gromadkach; wtem przylatuje para kozodojów, która przez godzinę polując, wyłapała roje uprzykrzonych komarów."

(1) Zajmujący się nauką o ptakach.

Do prawdziwych dobrodziejów naszych lasów należą *dzięcioły*, u nas niesłusznie spostwarzane i wyniszczane. Upowszechnione bowiem między ludem mniemanie, że dzięcioły kując w zdrowe drzewa, psują takowe, jest zupełnie mylne. Dzięcioł w zdrowem drzewie nigdy nie kuje, tylko w nadpsutem; gdzie zatem ten ptak często kuje, powinno to ostrzegać leśniczych, że tam jest nadpsute drzewo, lub mnogie zarodki na robactwo zawiera; takie więc drzewa powinni ścinać i z lasów wywozić.

Dzięcioły, które gmin żołnami nazywa, (1) zamieszkują lasy na równinach i górach; jest ich kilka gatunków w naszych lasach, a szczególniej *dzięcioł czarny* (picus martius): całe upierzenie czarne, karminowa plama na głowie, *dzięcioł zielony* (P. viridis), ze wszystkich u nas najpospolitszy, *dzięcioł pstry*, ten bywa *większy*, *średni* i *mały*, wreszcie *dzięcioł trójpalczasty* (P. tridactylus) zamieszkuje lasy w Karpatach. Te gatunki dzięciołów to dobrodzieje naszych lasów; nie można więc nie oburzać się na leśniczych i myśliwych, na pierwszych, że nie zabraniają wybierać z gniazd piskląt, a nawet sami zabijają większe gatunki; na drugich zaś za to, że wracając z polowania, wystrzeliwają fuzye do dzięciołów, jedynie dla zabawki.

Kto więc chce mieć rodzajne sady i lasy w dobrym stanie, niech szanuje wyżej wymienione ptaki. Poszanowanie dla niektórych ptaków w starożytności, jakoto dla Ibisa u egipcyan, dla sępów i sów u greków nie było prostym zabobonem; ta cześć była zawdzięczeniem za wyświadczane dobrodziejstwa.

Mało komu u nas wiadomo, jaki pożytek przynoszą sowy; niemal w każdym dworze

(1) Nazwa *żołny* jest niestosowna, bo żołna nie jest dzięciołem łażącym po drzewach, tylko pszczołojadem. Do nas czasem zalatuje z Ukrainy i niekiedy się gnieździ.

te ptaki widzimy rozpięte na stajniach i wrotach, lub na postrach stawiane w konopiach i prosach. Skoro tylko zahuczy na dachu sowa, zaraz wołają: *zabić złowroga*, a pamiętajcie gospodarze, że bez sów i niektórych gatunków jastrzębi mało mielibyśmy zdrowego ziarna. Kto widział na Rusi rozbieraną stertę zboża i w niej roje myszy, ten chętnie słuchać będzie huczenia sów, bo one to wytępić tylko mogą owo mnóstwo myszy polnych, a lubo większe gatunki sów, jakoto: *puchacz wielki sowa uralska* złapią czasem ptaszka lub młodego zajączka, stokrotnie wynagradzają to wytępieniem myszy.

Do użytecznych w gospodarstwie rolnem należą niektóre *jastrzębie*, jakoto: *myszołów* (Falco buteo), *Błotniak* (Circus) i *myszołów włochaty* (Falco lagopus); te żywią się głównie myszami i mnóstwo ich niszczą.

Życiorysy kmieci.

(Patrz nr. Cz. 46).

4. Jan Sawicki.

Gospodarz z gminy Stanisława Staszica.

—

Kiedy dobroczynny ś. p. Stanisław Staszic zakupiwszy dobra Hrubieszowskie w gubernii Lubelskiej, rozdał je bezpłatnie włościanom i osadnikom swoim, wyobrażał on sobie w myśli, że doczeka się jeżeli nie sam, to kraj, co go tak kochał, wzorowych małych gospodarstw, których tyle widział w podróżach swoich za granicę. Zgórą lat trzydzieści upłynęło od zgonu tego wieczystej pamięci godnego dobroczyńcy, zanim dopiero w owej gminie, znalazł się gospodarz, który za prawdę pocieszył cienie cnotliwego Staszica.

Tym wzorowym gospodarzem w gminie Hrubieszowskiej jest *Jan Sawicki*. Kolonia jego ma ogólnej przestrzeni morgów 55, z tych 36 morgów gruntu ornego, a łąk morgów dziewiętnaście. Prowadzi gospodarstwo trzy polowe. W przeciągu siedmiu lat swego gospodarstwa, dwa razy przeszedł całe pole nawozem, niektóre części ciągłej poddaje uprawie bez ugórowania, zachowując z całą ścisłością następstwo po sobie naprzemian kłosowych i groszkowych roślin. Uprawa nadzwyczaj staranna, a ztąd plon bujny.

Łąki po większej części wyższe, stosownie osuszone, a znajdujące się na nich miejsca błotne i złe gatunki traw wydające, Sawicki z godną uwagi wytrwałością przedsięwziął nawozić ziemię; jakoż już kilka miejsc zawiózł, z całą starannością i umiejętnością wyrównał i obsiał nasionami traw i koniczyn, szlam i ziemię wybiera z sadzawki własną czeladzią, jako też ze wzgórków na dziedzińcu i około zabudowań gospodarskich, które tym sposobem plantuje i równa, i już plac na mający się wystawić dom mieszkalny i podwórze przeznaczony pełen pagórków i dołów, wyrównał. Nadto posypuje rok rocznie łąki przynajmniej pięć morgów mieszaniną popiołu i wapna w ilości trzech korcy na morg i co wiosnę rozrzuca kretowiny i bronuje.

Budynki przez Sawickiego stawiane, odznaczają się dobrą budową i dbałością o wygodę dla ludzi i zwierząt. Dachy w jak najlepszym stanie, ogrodzenia nietylko porządne, ale w niektórych miejscach, jak około ogrodu fruktowego, z chrustu z pewną elegancyą grodzone.

Ogród owocowy własną ręką Sawickiego sadzony, do trzystu szczepów liczący, dochodu około 500 złotych za sam owoc przynosi. Drzewa oczyszczane, do palików poprzywiązywane znamionują troskliwość i zamiłowanie gospodarza.

Ogród warzywny starannie uprawny, inspekta z ośmnastu okien złożone, jakby przez najbieglejszego ogrodnika prowadzone cieszą właściciela nowaliami, które rad drugim w darze udziela. Pod ścianą domu jedna morela i jedna brzoskwinia w wachlarz umiejętnie rozpięte, kilkanaście krzaków winorośli, cieszą Sawickiego nadzieją obfitego winobrania. Pasieki ma pni jedenaście, z tych cztery w zwyczajnych ulach, a siedm w skrzynkowych.

Dla oszczędzenia rąk ludzkich, które dosyć tu pracy mają, na tak małą kolonję wziął Sawicki młockarnię małą parokonną z fabryki Bogusiewicza z Raciborowic, na dwuletnią wypłatę ratami, którą własnym pomysłem na wzniesieniu postawił, na dole na boku umieścił zwyczajny młynek, utrzymujący ruch za pomocą pasa od kieratu, na którym zboże wieje, nasypując na kosz w miarę omłotu; ma jeszcze sieczkarnię przez tenże sam kierat poruszaną.

Bydła rogatego posiada wogóle sztuk trzydzieści siedm prócz cieląt, między temi sześć

wołów roboczych, krów dojnych siedm. Bydło poprawne rasą holenderską, najpiękniej utrzymane, krowy oprócz potrzeby domowej do 400 złotych dochodu czynią.

Woły rosłe, dobrze zbudowane, równie starannie utrzymane, byłyby chlubą najzamożniejszych gospodarstw.

Koni roboczych trzyma sześć; rosłe, krepkie, w takim zachowaniu, że mogłyby piękną uprzęż pojazdową stanowić.

W całem gospodarstwie ład i porządek wzorowy, widok ciągłej starannej pracy rozumnie skierowanej. Jeżeli wytrwa dalej Sawicki w tych usiłowaniach swoich, gospodarstwo jego będzie przykładem dla podobnie drobnych gospodarstw w całym kraju, jak już dziś jest wzorem dla właścicieli w stowarzyszeniu rolniczem Hrubieszowskiem.

Złamana igiełka.

— No, przestańże już tak płakać moje dziecię, bo chociaż nie widzę, bolesno mi jest jednak słuchać twego szlochania, mówił siwowłosy starzec do młodej kobiety, siedzącej przy oknie czwartego piętra, jednej z najwyższych kamienic Starego-Miasta, która posępnym wzrokiem spoglądała na rozłożoną przed sobą robotę, tłumiąc gwałtem łkania dobywające się z jej piersi. Pokoik, w którym się odbywała ta smutna scena, okazywał największe ubóstwo, które tylko porządek starannie zachowany mniej czynił rażącym. W wielkim koszu od bielizny zasypiał smacznie trzyletni chłopczyk, drugi zaś kilkoma laty starszy od brata bawił się przy matce, rzucając miłosierne spojrzenia na zimny kominek, na którym mimo dość już późnej godziny nie spostrzegał z zadziwieniem żadnych przygotowań do zwykłego śniadania.

—I cóż ja teraz pocznę, mówiła drżącym głosem kobieta, dziś właśnie miałam odnieść resztę bielizny pani B...skiej — wczoraj aż dwa razy przysełała służącą, nagląc o pośpiech i ostrzegając, że jeżeli nazajutrz nie odniosę roboty, już się nie mam czego od niej spodziewać. Bóg mi świadkiem, pracowałam noc całą i gdyby nie ta nieszczęsna igiełka, co złamawszy się do połowy, utkwiła mi w ręce, najdalej na południe odniosłabym szycie i odebrała pieniądze, których tak potrzebujemy. A teraz nie wiem, co się z nami stanie. Licząc na dzisiejszą zapłatę, kupiłam wczoraj trzewiczki Józiowi i nie zostało mi tylko dwa złote całego majątku, za które Bóg wie jak długo żyć wypadnie. Powiedz mi więc mój ojcze, co się z nami dalej stanie, jeżeli jakiś czas nie będę mogła pracować?

— Bóg to sam będzie wiedział najlepiej, odrzekł, pocieszając staruszek, którego oczy wiecznym mrokiem zakryte, nie dozwalały mu widzieć zaognionej ręki biednej kobiety, a tem samem i rozważyć całej okropności tak drobnego na pozór wypadku. Po chwili milczącego namysłu odezwał się znowu: Wiesz co synowo?... oto zamiast tracić czas na próżnem narzekaniu, zejdź lepiej na dół do cyrulika; jestto bardzo zręczny człowiek, jak mi powiadano, i za niewielką zapłatę wyciągnie ci tę fatalną igłę zza skóry.

— Myślałam ja już o tem i sama, odpowiedziała wdowa, lecz jak wiesz ojcze, nie mam więcej jak dwa złote, a moje dzieci ani ty dziś jeszcze nie jedliście śniadania. Zastanowił się niewidomy.

— Jednakże ja sądzę, że lepiej jest przepościć z jakie pół dnia, niż pozbyć ręki lub życia.

— Gdybyżto tylko o mnie chodziło, zawołała z płaczem biedna matka.

— To też właśnie moja dobra Anielo! że tu najwięcej idzie o twoje dzieci, ciągnął dalej rozczulony starzec, bo wszakże mnie już nie wiele dni pozostało na tym świecie, a przy mojej ślepocie mógłbym znaleść utrzymanie do śmierci choćby w jakim zakładzie dobroczynnym, dodał z bolesnym wyrazem. Te ostatnie słowa tak głęboko dotknęły Anielę, że nie czekając dłużej, zarzuciła chustkę na ramiona i z pośpiechem zbiegła po schodach do mieszkania cyrulika, który bez długich zachodów przeciąwszy wierzchnią skórę, wyciągnął głęboko w ciele utkwioną igłę. Po tej małej operacyi, wdowa chciała zapłacić za oddaną sobie przysługę i z nietajonym bólem serca sięgnęła po swoję jedyną dwuzłotówkę. Nie chciał przyjąć zapłaty uczciwy człowiek.

— Ależ moja pani L., za co tu płacić, rzekł odsuwając drżącą rękę kobiety trzymającą pieniądz; tę samą przysługę lada baba

oddaćby pani potrafiła, godziż się to już tak źle trzymać o sąsiedzie, który zna twoje położenie, że nic nikomu bez pieniędzy nie zrobi? Łzy stanęły w oczach rozczulonej wdowy, wsunęła napowrót dwuzłotówkę do kieszeni i ściskając serdecznie rękę cyrulika, rzekła przejmującym głosem:

— Dziękuję ci szlachetny człowieku, z twojej łaski moje dzieci i biedny niewidomy ojciec nie będą dziś głodni.

Całej tej scenie przypatrywał się niewidzialny świadek, co spoglądając przez oszklone drzwi drugiego pokoju, ani jednego rysu nie stracił z całego obrazu. Szlachetna postawa wdowy, ujmujące rysy, oraz ostatnie wyrazy wymówione przed odejściem zwróciły całą jego uwagę. Byłto człowiek już niemłody, którego ubiór i rysy twarzy wskazywały wyższe stanowisko w społeczeństwie; on to wszedłszy za jakimś interesem do sklepu cyrulika, przypadkowo poznał szlachetny sposób jego myślenia i przejął się współczuciem dla biednej wdowy. Skoro tylko ujrzał ją wychodzącą, wyszedł ze swego ukrycia, a skinąwszy na cyrulika, z zajęciem począł wypytywać, kto była osoba, z którą przed chwilą widział go rozmawiającego.

— O! łaskawy panie, odpowiedział zapytany, jestto bardzo godna osoba, pani L... wdowa po urzędniku z powiatowego miasta, która rok już blisko mieszka w tym domu, starając się o emeryturę po nieboszczyku. Bieda tam, bieda, panie dobrodzieju; mąż nie zostawił ani grosza, emerytury nie dają, bo podobno lat nie wysłużył, co miała porządniejszego, to posprzedawała, a teraz niebogа dzień i noc musi pracować, aby jakotako utrzymać się z dwojgiem małych dzieci i niewidomym ojcem zmarłego męża, który także mieszka przy niej. Opowiadanie ciężkiego losu wdowy zdawało się czynić głębokie wrażenie na myśli nieznajomego; sięgnął do kieszeni po swój pugilares, a nakreśliwszy szybko parę wyrazów ołówkiem, oddalił się ze sklepu, pożegnawszy ukłonem zacnego cyrulika. Tego samego dnia jeszcze, z niemałem zadziwieniem, pani L... odebrała list pełen pociechy, do którego dołączone było 30 rubli w biletach bankowych, a w tydzień potem wezwanie, aby się stawiła osobiście w biórze właściwej władzy, która jej przysądziła znaczne wsparcie jednorazowe przez wzgląd na zasługi zmarłego jej męża; słowem od tego czasu szczęście zaczęło się uśmiechać do biednej rodziny, dotąd w tak smutnym zostającej stanie. Dobra Aniela nie przestawała pracować z największą gorliwością, lecz posiadając teraz znaczniejsze fundusze, wynajęła wygodny lokal na jednej z głównych ulic stolicy i przyjęła kilka wspłpraócownic, któremi kierując rozsądnie, zdołała zapewnić sobie stały dochód wystarczający na wychowanie synów i zapewnienie wszelkich wygód niewidomego ojca. Przypisując wszystko dobroczynnemu zrządzeniu Opatrzności, nie starała się nawet pobożna kobieta o dowiedzenie, kto był w tym względzie narzędziem do spełnienia woli Najwyższego; lecz zszedłszy się przypadkiem na mieście z dawnym swoim sąsiadem cyrulikiem, z jego ust dowiedziała się o współczuciu nieznajomego pana i domyśliła się, że on to musiał być dobroczynnym sprawcą pomyślnej zmiany, jaka zaszła w jej losie. Napróżno jednak ze łzami w oczach zaklinała cyrulika o wymienienie nazwiska swego dobroczyńcy, gdyż ten milczał jak skała, zbywając ją niemożnością złamania danego słowa. Wróciwszy do domu, ze wzruszeniem powtórzyła ojcu usłyszaną wiadomość, użalając się że nazwisko tego, któremu winna była swój los teraźniejszy i zapewnienie przyszłości swym dzieciom, miało zostać wieczną dla niej tajemnicą; lecz starzec składając drżące ręce jakby do modlitwy, zawołał uroczystym głosem:

— I cóż moja droga Anielo, czyliż nie miałem słuszności odpowiadając na twe zapytanie pełne rozpaczy: Cóż poczniemy ojcze? że Bóg będzie o tem wiedział najlepiej. Błogosławmy więc temu miłosiernemu Ojcu, co w chwili największej rozpaczy użył złamanej igiełki za narzędzie do wydźwignienia nas z nędzy, i wznieśmy do Niego swe modły o pomyślność naszego dobroczyńcy, który tak pięknie zrozumiał te słowa Chrystusa: Jeżeli dajesz jałmużnę, nie trąb przed sobą, jako obłudnicy, ale dając, niech nie wie lewa ręka twoja, co prawa czyni, a Ojciec twój niebieski, który widzi skrytości, zapłaci tobie.

Wdruk. J. Ungra.—Wolno drukować.—Warszawa d. 3 (15) listopada 1858 r. Starszy cenzor, *F. Sobieszczański.*